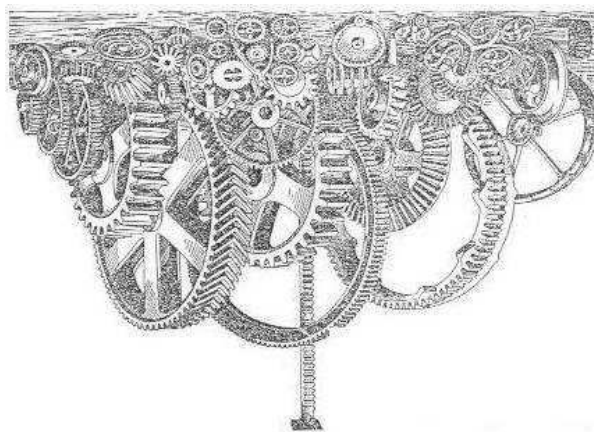


boczny tor nr 23

p i s m o p o s z k o d z i e



— Mnie też będzie ciężko. Żałuję, że musimy z tym skończyć, ale nie można tak dalej.

Wzięła głęboki oddech i powoli wypuściła powietrze.

— A co można? Wyjaśnij mi? Ja naprawdę nie wiem, co można. Wiem, czego nie można, ale co można?

Nie znałem dobrej odpowiedzi.

Haruki Murakami, *Sputnik Sweetheart*

Przecież

Zapomniałem, o czym miałem sobie przypomnieć. Zamiast spaceru szperanie w stercie starych gazet. Tyle wiem ze świata, że o pewnych sprawach nie należy pisać, bo niewiele spraw jest pewnych. Zresztą: na świecie są nie tylko kataklizmy, życie składa się przecież z normalnych tragedii.

Mniej więcej

Coraz więcej czasu na myślenie. Na przykład na myślenie o tym, że czasu coraz mniej.

Za późno

Jak było wcześniej? Wcześniej.

Spełnienie

Mam to, co chciałem. A chciałem nie mieć.

Bieg przez szkody

Coś, gdzieś, nijak. Szybko, ale nie bardziej. Niedośyt, a dość.

Którędy w dal

Dokąd wiedzie droga donikąd?

Listopad miesiącem porad

Rozpoczynaj od końca. Najpierw przeżyj śmierć. Potem żyj aż do narodzin.

Odpowiedź znaleziona na schodach

Co znaczy coś znaczyć? Cokolwiek to znaczy, nie oznacza ostatecznie.

Rok bieżący

Wiosna, lato, jesień, zima.

Źle ubrane dobrania

Podobno nie ma złej pogody, są tylko źle dobrane ubrania.

Jak mucha bez skrzydeł

Jestem w stanie nie wstawać, dosłownie.

Okazja po 9,99 (przecena promująca dobro)

Właściwie to mogło być po 6,66. No ale jakby to wyglądało!

Finisaż

— Miałeś ostatnio sporo pracy. Ale teraz, po wszystkim, jaka satysfakcja!

— Jaka?

Boso po rżysku

Co jest najważniejsze w życiu? Wżycie się. A w życie?

Dowiesz się na rżysku.

Jest cel, są i przeszkody

Szkoda, że nie można żyć przez samo Że.

Ani na czas, ani po czasie

Tymczasem.

Niesen

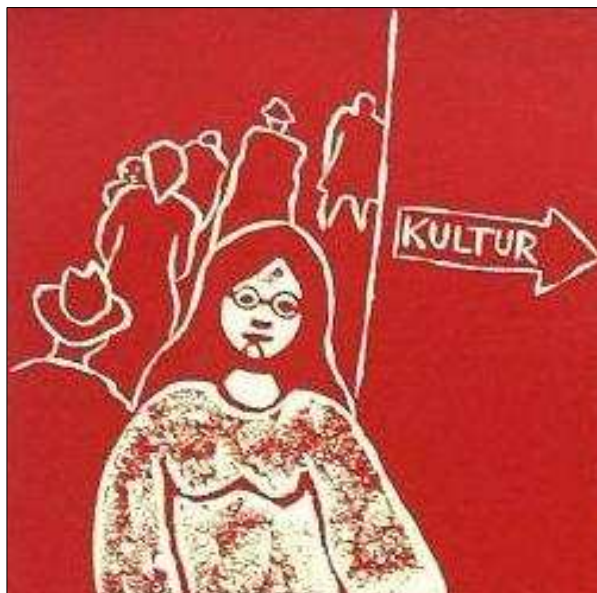
Zasypiam i nie mogę.

Koszty własne

Ja oczekuję ode mnie rozwiązania swoich problemów.

Stosunek do śmierci

Żyjemy do końca.



Prasa — ślepy tor?

Amatorskim pisemkom nie sprzyja nic. Ani czas, który wiadomo dlaczego wymusza na człowieku przyjęcie intratnej propozycji pracy na budowie komórek społecznych. Ani grono współpracowników, zawsze kapryśnych i przypadkowych, robiących to dla zabawy, a kiedy zabawa się kończy, idących sobie do domu. Ani predyspozycje psychiczne samych twórców takowych pisemek — jak robi się coś z siebie dla innych, to prędko doznaje się frustracji bumerangu, tj. rzuciliśmy coś w świat, on zaś (ten świat parszywy) oddał nam to w nienaruszonym stanie i prosto w twarz. Amatorskie pisemka wypalają się jedno po drugim, wzięty rozpęd spotyka się z ostrym hamowaniem, aczkolwiek pisk opon (mózgowych) słyszą nieliczni. Kto teraz pamięta o pociesznych, zaskakujących, dowcipnych i pomysłowych wydaniach pisma „Boczny Tor”? Kto w ogóle je kiedykolwiek czytał na papierze? Kto jeszcze zagląda na witrynę tego nieregularnika w poszukiwaniu nowych wieści z Torowej redakcji?

Poznański „Boczny Tor” trwa od 1997 roku. Trwa jakby na przekór wymienionym wcześniej czynnikom regresu. Dzięki temu, iż jest to właściwie pisemko kaprys, udaje się co jakiś czas wypuścić w ilości kilkudziesięciu egzemplarzy skromnego zina, bez potrzeby ogłaszania naboru do redakcji, mamienia ludzi konkursami lub stresu śrubowania poziomu z każdym kolejnym numerem. Pomimo to „Boczny Tor” już dogorywa. Dogorywa, bo ostatnie odsłony przypominają jedynie o odsłonach wcześniejszych, gdzie pełno było kryptocytatów, falsyfikacji, manifestów, groteskowych miniaturek i graficznych kolaży. Dogorywający Tor staje się natomiast minimalistyczny i zaskakująco prywatny. Tam, gdzie kiedyś dyskutowało się zadaniach sztuki, omawiało się paradygmaty egzystencji, kpiło się ze snobizmu, teraz kolekcjonuje się jedynie zabawne powiedzonka i zamieszcza fragmenty osobistych dzienników. Poczucie humoru, drwina, szczypta cynizmu pozostały, ale operowanie nimi jakby spowolnione spleenem hermetyzmu. Oto porażający wniosek: prywatna przestaje być uniwersalna. Widomy znak, że nie jest się we wnętrzu twórczości, lecz poza nią, od święta, czyli jest to właściwie hobby, na które coraz mniej środków finansowych i coraz mniej ochoty.

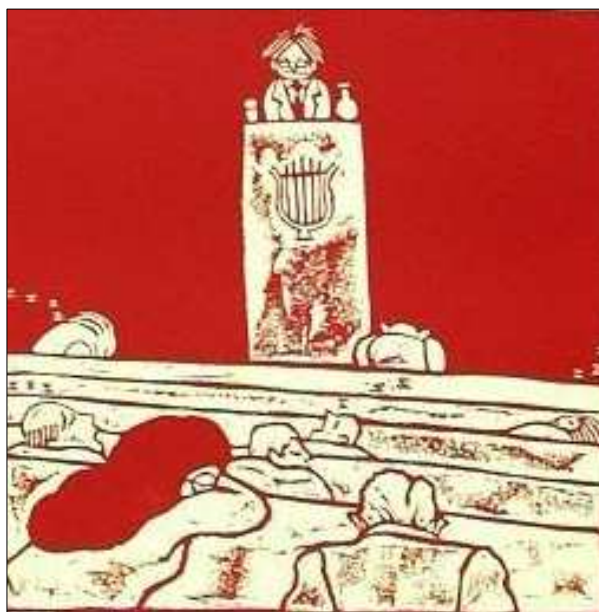
Najnowsze wydanie sieciowe Boczno Toru zbiera materiał z trzech ostatnich numerów pisma. Może on ubogi, może lapidaria i rozmówki o tym, że się nie chce, trąca aberracją, jednak i tak owa kompilacja broni się w konfrontacji z gazetkami poetów nagradzanych w lokalnych konkursach lub zabawami

awangardzistów „Warszawy, co da się lubić za parę złotych”. Dast trzyma się bowiem własnego dekalogu: być na uboczu, zajmować się marginaliami, wypracować własny punkt widzenia, choć to widzenie ślepego toru, z którego nie ma już powrotu na główną trasę. Pismo ślepnie, ale ślepnie podobnie jak inne małe stacyjki twórcze, nieodwiedzane i często zamykane z powodu zawieszonych kursów. Dalej spotyka się tu jazdy ekspresowe np. „Bezmiar niewiedzy”, doskonale credo artystyczne, gdzie przenikliwość spotyka się z najbardziej ograniczonymi stwierdzeniami, tak iż nie wiadomo, czy ma się do czynienia z wyznaniem świadomego artysty, czy też zwykłego dyletanta.

Aby wydać zina, wystarczy słaba znajomość obsługi komputera. Słabych zina jest pełno i cieszą się one admiracją kolekcjonerów offowej twórczości. „Bocznego Toru” jednak nikt nie zauważył, przespało go całe środowisko znawców litery i kreski, śniąc o wybitnych zinach, po których dzisiaj nie zostały nawet pełne tytuły. A „Boczny Tor” nie zasnął do końca. Wypadałoby opublikować w jakiejś zwartej formie numery pisma... Tylko, kto by się tym zainteresował? Ślepcy potrzebujący „Lampy” do czytania po ciemku?

/ badkumul

16.09.2004, Stowarzyszenie Liternacka i reszta, www.liternacka.blog.onet.pl



Re: ślepy tor

Amatorskim pisemkom nie sprzyja nic. Nic? Nie wiem, jak innym pisemkom, ale Boczemu torowi sprzyja sam tytuł. Tym, co nie sprzyja, jest oczywiście czas. Czas przede wszystkim. Jak nic.

Czas — główny temat do podjęcia, główny temat do przemilczenia. Bo czas nie tylko wymusza na człowieku te czy inne czynności, lecz z zasady czyni je w swej perspektywie daremnymi. Aby to wiedzieć, nie trzeba pisać (ani tym bardziej nie ma potrzeby wydawania amatorskich pisemek). Ale dla piszących — mimo wszystko i pomimo nic — ta wiedza, że czas posuwa nas, jest i tak jak zwykle po czasie, już po napisaniu. Zostają słowa. Słowa zamiast słowa. I ten niechybny wynik jest zapewne powodem pisania w ogóle. A na pewno głównym powodem istnienia Boczego toru.

Czy przeszkodą dla istnienia pisemek amatorskich są predyspozycje psychiczne samych autorów? Możliwe, bardzo nawet. Ale jeśli tak, to nie jedynie dlatego, że jak robi się coś z siebie dla innych, to prędko doznaje się frustracji bumerangu, lecz raczej dlatego, że jak się robi coś z siebie dla innych, to się robi coś najpierw z siebie. W tym przypadku doznaje się różnego rodzaju frustracji, jednej z nich na imię autokorekta. Że zacytuję bezwstydnie sam siebie: Nadal nie jestem tym, kim pisząc się staję, a słowa znaczą wciąż mniej niż rzeczy, do których zmierzały. Cóż, świat pełen jest zużytych metafor... Boczny tor to jedno z wielu składowisk tego złomu.

Amatorskie pisemka wypalają się jedno po drugim; kto teraz pamięta o wydaniach pisma Boczny Tor? Odpowiem tak: a który palacz wspomina smak wypalonego papierosa? Nałóg to nałóg. Pali się, wypala, bierze następnego. Albo zaczyna nowy etap: rzuca się palenia. I wpada w nowe nałogi.

Boczny Tor już dogorywa. Dogorywający staje się minimalistyczny i zaskakująco prywatny. Przepraszam, że nie uprzedziłem. Uczynię to teraz: będzie gorzej. Boczny tor będzie nadal dogorywać. Bo to w istocie pismo dogorywające: pismo, które dogorywa, a nie dogrywa.

Czy Boczny tor ślepie? Raczej rdzewieje, zwłaszcza wskutek jesiennej mżawki. Ślepie zapewne główny korespondent Boczno toru, piszący te słowa. Ślepie z wiekiem, ale nie jedynie z tej naturalnej przyczyny. Wzrok mu marnieje od patrzenia w wysoko zawieszony reflektory oświetlające scenę, na której trwa dyskusja o zadaniach sztuki i paradygmatach egzystencji, i od wpatrywania się w mikroskopijne przypisy na marginesach reklam obiecujących niemal wszystko za prawie nic.

Na Boczny torze jest i będzie nadal prawie nic. To wszystko. A z obietnic jest jedna: w następnych numerach dogorywającego pisemka spodziewajcie się kolejnych odcinków „Dialogu świadomego artysty, który udaje zwykłego dyletanta, z dyletanem udającym artystę — w formie monologu wewnętrznego”.

/ dast



• **Najnowsza nowość z dziedziny medycyny** •

Już wkrótce znajdzie powszechne zastosowanie najnowszy eksperyment medycyny alternatywnej: przeszczep nawyków. Czekamy na dawców, odbiorcy znani redakcji.

/ red. bt

Zabawnie jest, no nie?



Imprezy integracyjne i ogólnodostępne

Położenie naszej Rezydencji sprzyja organizowaniu rozmaitych imprez integracyjnych. Z dala od zgiełku wielkich miast możemy bezstresowo poznawać swoich współpracowników, umacniać stosunki partnerskie, nawiązywać nowe kontakty i przede wszystkim oddawać się przyjemnościom. Specjalizujemy się w organizacji imprez tematycznych. To u nas w kłębach dymu cygar zagracie w kasyno, przeniesiemy Was w gorący klimat hawajski, nauczymy tańczyć sambę, a dla miłośników lasów zorganizujemy polowanie na dzika.

Z ogromną przyjemnością zapraszamy Państwa do wzięcia udziału w organizowanych przez nas imprezach. Nasze zabawy andrzejkowe, bale sylwestrowe i karnawałowe zaskoczą Was swoją niezwykłością i oryginalnością. Jesteśmy pewni, że dzięki niezliczonym atrakcjom spędzą Państwo z nami niejedną szaloną noc. Postaramy przenieść się nie tylko do różnych zakątków świata, ale także cofać się w czasie. Najlepiej przekonać się osobiście. A pomysłów na dobrą zabawę wciąż przybywa...

/ źródło: druk reklamowy Rezydencji Dwa Stawy

Boki zrywać (czyli forum wspinaczkowe)

Temat: WSPINACZKA NA GIEWONT

Chcę w sierpniu przyszłego roku wspiąć się na Giewont. Chcę iść szlakiem z Kuźnic przez Halę Kondratową. Mam pytanie, czy bardzo trudna jest tam ekspozycja, bo słyszałem, że bardzo. Z góry dziękuję za odpowiedź.

Re: (1) Na samej górze jest ekspozycja opakowań po najpopularniejszych batonach i napojach. Czasem duża. Wystarczy że robisz VI.3 OS.

Re: (2) Czasami możesz też przy odrobinie szczęścia wdepnąć w ciepłego jeszcze batona, czego ci szczerze życzę.

Re: (3) Podaję dane: VI bigwall, VII UIAA, A3, C3, lód 50 st. Droga z Kuźnic szlakiem przez Kondratową na Giewont należy do najtrudniejszych wspinaczek w Tatrach, więc jeżeli nie znasz drogi, to może wcześniej coś łatwiejszego.

Re: (4) Wskakuj w buty, chwyć pelerynę i zapierdalaj. Nie zatrzymuj się, bo cię świstaki dopadną, a wtedy koniec. I rób tak po drodze: iha iha iiiihha iha ihhaaa. To je odstrasza! I koniecznie musisz mieć przy sobie owies na czarną godzinę.

Re: (5) Śniło mi się, że mnie czyści. Budź się — rzeczywistość. Musisz mieć też kupę miodu dla miśków. One tak stoją tam na trasie cały czas i się pytają: „masz miodek, masz???", a jak nie masz, to w mordę i w jaja, i tak cały boży dzień. Oj trudna ekspozycja, trudna...

Re: (6) No z tymi świstakami to nie ma żartów. Sam kiedyś byłem zaatakowany przez stado wściekłych świstaków. Na szczęście powołałem się na znajomość z ówczesnym dr Byrcynem.

Re: (7) Najbardziej niebezpieczny jest ranny świstak... Potrafi być bardzo agresywny. Podobnie zresztą matka z młodymi — w obronie swoich dzieci potrafi zagryźć nawet niedźwiedzia.

Re: (8) Uwaga na ranne świstaki, które zawijają jeszcze ciepłe batony w sreberka! Owsem nie odgonisz!

/ źródło: www.wspinanie.pl

Nieprawidłowości w Bibliotece Uniwersyteckiej Uniwersytetu Wrocławskiego i pokłósie

List z 21 września br.

Donoszę o nieprawidłowościach w Czytelni Głównej i wypożyczalni BUWR Uniwersytetu Wrocławskiego. Jestem studentem filologii polskiej na tej uczelni już siedem lat, od roku jestem na studiach zaocznych tego samego kierunku i mieszkam w domu, tzn. w Suwałkach. To co się dzieje w owej bibliotece może zmrozić każdego normalnego człowieka. Od siedmiu lat (z dwuletnią przerwą, kiedy mieszkałem w Warszawie i chodziłem do tamtejszej biblioteki uniwersyteckiej, do BUWu), spotykam się w czytelni głównej BUWR z istic chamską obsługą, a właściwie nie z obsługą tylko bardzo wytrwałym zniechęcaniem mnie do korzystania z tej biblioteki. Mogę to bez żadnego nadużycia nazwać wojną psychologiczną toczoną ze mną przez siedem lat. Teraz i ja wypowiadam wojnę i zapowiadam wszystkim zainteresowanym, że ją wygram, bo nikt jeszcze ze mną nie wygrał!

Ale żeby nie być gołosłownym przedstawię teraz moje skargi i zarzuty wobec pracowników BUWRu. Zacznę od dzisiaj, bo właśnie dziś, to jest 21 września odebrałem w czytelni trzy książki dotyczące przedwojennej Polonii amerykańskiej, m.in. Wacława Gąsiorowskiego „Ach te chamy w Ameryce!”. Tylko że zanim mogłem z nimi zasiąść przy stole do czytania, bibliotekarka nie zapytała się mnie gdzie chcę usiąść, tylko jakąś dziwną gwarą uliczną zaintonowała do mnie „yymmmm?”, niczym jakiś esbek do więźnia politycznego albo policjant kryminalny do oprycha. To „yymmmm”, to miało właśnie znaczyć, gdzie chcę usiąść. Historia utrudniania mi pracy w czytelni głównej sięga jednak już siedmiu lat, jest więc bardzo długa.

W tym mejlu napiszę z tej racji tylko o niektórych notorycznych nieprawidłowych zachowaniach pracowników biblioteki, co do których uważam, że powinny zostać wysunięte dyscyplinarne konsekwencje. Dokładnie wobec kobiet bibliotekarek w Czytelni Głównej, które do dziś w niej pracują, jak też wobec zachowań kobiet w wypożyczalni, które pracowały w tym roku przed wakacjami akademickimi w wypożyczalni.

Żeby mi utrudnić czytanie w czytelni, bibliotekarki witały mnie zawsze nienawistnym tonem, jak kogoś obcego, który przyszedł robić jakąś rozróbę, właściwie to nawet nie wiem, o co mnie podejrzewały, dość że w takiej atmosferze trudno pracować. Książki, które zamawiałem w trakcie pobytu w czytelni, jeżeli były przynoszone do stolika, to były rzucane z hukiem przede mną, a nie kładzione (świadkiem może być doktor Heck, pracownik naukowy Instytutu Filologii Polskiej), jeżeli zaś chodziłem po ich odbiór, to z wyraźnym ociąganiem były szukane spośród zamówień. Kiedy oddawałem książki i numer z miejscem, moja legitymacja była rzucana przede mną na blat z odległości metra, a czasami i dalszej, co też świadczy o takim pracowniku samo za siebie. W każdej normalnej pracy już jutro by ktoś taki stracił pracę, gdyby komuś rzucił przed nosem chlebem czy dyskietką. A przecież tak było zawsze, bez wyjątku, zawsze kiedy tam przychodziłem i wychodziłem.

To jeszcze nie koniec utrudniania mi pracy w publicznej i państwowej placówce. Bardzo często, tzn. codziennie, ale z pewnymi przerwami, siedzi jedna albo dwie bibliotekarki i patrzą się na czytających, nic innego nie robią, tylko się patrzą, czasami nawet godzinami. Takie patrzyenie może być niezauważone przez kogoś, ale jeżeli komuś się robi wstępy na samym początku przyjscia do czytelni, to doprawdy jest to bardzo przykre, jak ktoś się na kogoś gapi bez przerwy, jak jakiś lump z warszawskiej Pragi na przechodniów. Siedzą przy stoliku, który jest przy ścianie, na środku sali, obok drzwi do magazynu, z którego co jakiś czas przychodzą zamawiane książki, ale czytelnia jest przecież nieduża, od stolika bibliotekarek do najbliższych stolików dzieli zaledwie kilka, może dwa, trzy metry, zatem jeżeli się dostaje miejsce przy takim stoliku, który jest obok tych pań, trudno nie wyczuć wlepionych w siebie czyichś oczu, tym bardziej że dochodziło do tego, że odwracałem głowę w tym kierunku i spotykałem wlepione w siebie ślepie jakiejś bibliotekarki. Nie oczy kogoś zamyślonego, czekającego na nowe zamówione książki z magazynu, patrzącego ponad czytającymi, ale właśnie że nie, bo patrzącego wprost we mnie, na moją osobę. To jest więc oburzające, że pozwala się na takie praktyki osobom, które biorą pieniądze za siedzenie i gapienie się na poszczególnych czytających, żeby te kobiety chociaż coś czytały, kiedy tam siedzą.

Do stresujących sytuacji dochodziło nieraz, kiedy ze względów czysto technicznych zmieniałem miejsce obok okna, np. kiedy robiło się chłodno, albo z miejsca, które było słabo oświetlone, i przesiadałem się na inne wolne — wówczas, zupełnie z nagła po jakimś czasie ktoś podchodził i ostrym, chamskim tonem rozkazywał powrót na miejsce, na które dostałem miejsce. Skąd więc wiedział, że zmieniłem miejsce? Każdy kto szuka swojego miejsca w tej niedużej sali jest słyszany, kiedy przeciska się obok krzeseł, poza tym jeżeli znajdzie miejsce zajęte, to idzie po nowe, mi się to często zdarzało. Wniosek jest więc jeden, że byłem obserwowany, że te panie brały pieniądze za to, że obserwowały mnie, czy przypadkiem nie zmienię miejsca.

Miejsca numerowane to jedna z największych zacończonych rzeczy w tej bibliotece. Proszę pojechać do warszawskiego BUWu i zobaczyć, jak powinna wyglądać normalna biblioteka, z normalną uprzejmą obsługą m.in. bez koszarowej sztywności pruskiej, z której słynęło to miasto przed wojną. Wojna już się jednak dawno skończyła i jest to polskie miasto i nie pozwolę, żeby ktoś mnie po chamsku ciągle obrażał.

Jeżeli zaś chodzi o bibliotekarki z wypożyczalni, jest to temat osobny, ponieważ dotyczy tylko ściśle określonego czasu, semestru letniego 2004 roku. Nigdzie nie spotkałem się z tak agresywną i niechlujną obsługą, jak u tych kobiet (poza jeszcze dziekanatem studiów dziennych i zaocznych mojego wydziału). Na cywilizowanym świecie to się już nie zdarza, to jest nie do pomyślenia, w jaki sposób może ktoś w publicznej placówce za pieniądze podatnika być nieuprzejmy i odrażający. Mnie za takie zachowanie ze sto razy by wyrzucono z pracy. Co do nazwisk zaś tych kobiet bibliotekarek, to napiszę je w następnym mejlu, ponieważ nie znam ich osobiście i będę musiał je o to poprosić, albo w inny sposób zdobyć ich personalia. Zawiadomienie o nieprawidłowościach w BUWRze wyślę m.in. do gazet, NIKu, różnych organizacji studenckich, telewizji, innych uczelni wyższych.

Z poważaniem

/ Adam Bolewski
student filologii polskiej UWR

POKŁOSIE

Na mój list zareagowała, jak do tej pory, Państwowa Inspekcja Pracy w Warszawie, która wysłała mi kopię listu skierowanego do dyrektora administracyjnego UWR z prośbą o wyjaśnienie przebiegu pracy w bibliotece, jak też czasopismo Odra, które sugeruje przekazanie listu do kolejnych czasopism i gazet, co też czynię.

3 października br. na zjeździe 5-tego roku w gmachu przy pl. Nankiera 15 w dziekanacie dowiedziałem się, że zostałem skreślony z listy studentów i... A przecież indeks złożyłem w terminie we wrześniu do dziekanatu (odebrałem go z szuflady 2 października), opłaciłem studia w terminie we wrześniu, ze względów jednak takich, że podczas zjazdu 2 października dziekanat był otwarty od 8 do 12 (od 23 października jest teraz otwarty od 8 do 16!), zatem w czasie zajęć. Nie mogłem więc dostarczyć zaświadczenia osobiście, więc wysłałem go we Wrocławiu listem zwykłym na adres dziekanatu. Zadzwoiłem kilka dni później z Suwałk z zapytaniem, czy dotarł mój list z poświadczeniem wpłaty, pani pracująca w dziekanacie studiów zaocznych, będąc na linii, odnalazła mój list, rozdarła go przy mnie, informując mnie o tym co robi, potwierdziła, że wszystko się zgadza i stwierdziła, że mogę przyjechać z indeksem i legitymacją do podbicia. Ot i wszystko. Stąd moje zdumienie we Wrocławiu 23 października wyrażone czy przypuszczone, że chyba rozmawiałem z krasnoludkami przez telefon, skoro pani z dziekanatu nie wie nic o tym, że mój indeks z zaliczeniami i egzaminami został sprawdzony we wrześniu, że dotarło potwierdzenie wpłaty, bo koleżanka nie poinformowała jej o tym, więc Dziekan, który też nic nie wie w tej sprawie, każe mnie skreślić. Ot i cała historia godna prokuratora.

Skoro nie wierzy się studentowi, warto zawierzyć przedstawicielom państwa, bowiem dla mnie jest jasne, że ta sprawa z moim skreśleniem jest pokłosiem mojego listu w sprawie uchybień w Bibliotece Uniwersyteckiej. Tym razem będę bezwzględny i wyślę tysiące listów do tysięcy.

Pamiętaj! Urodziłeś się bez części zamiennych*

* Tablica ostrzegawcza z kopalni w Nowej Rudzie
(lepszą Nowa Ruda niż stara blondyna)

Marek Pustelnik

Wędkowanie

Po lekturze „Śmierci pięknych saren” Oty Pavla poczułem zazdrość. Przepiękna, jasna literatura. Jasna, a pod spodem ciemne cienie rozpaczy. Może dlatego tak piękna. Na pewno dlatego. Tytułowe opowiadanie zbioru poraża. Uczyć się, uczyć! Ale to niewiele da. Trzeba przede wszystkim żyć. Żyć, przeżyć, zapomnieć i przywrócić pamięci. I pisać. Pisać, nie przepisywać, nie rozpisywać się. Tak, o to pisanie jestem zazdrosny. Łatwiej poradziłem sobie z tęsknotą do łowienia ryb.

Z wędkarstwem nie mam nic wspólnego. Nie złapałem bakcyła za młodu, a teraz to już nic mnie nie bierze. Z tatą nie chodziłem łowić. Nie wiem, czy on to kiedykolwiek robił. Nawet jeśli tak było, to na ryby wybierał się z kimś innym albo sam i gdzieś daleko. Nie pytałem go o to. Gdy się spotkaliśmy pierwszy raz, zresztą na krótko, by znów o sobie zapomnieć, miałem jedenaście lat. Wiek dość dobry, żeby nabrać ochoty na łowieckie emocje znad brzegów jezior czy rzek. Wiek pierwszych męskich przygód. No ale nie zdarzyło się. Zresztą byłem wtedy nastawiony do wypraw na ryby nie najlepiej. O ile mnie pamięć nie zwodzi, był to czas już po wędkarskiej inicjacji z moim wujkiem W.

Muszę przyznać, że z wujkiem W. wędkowanie zapowiadało się wspaniale. Lubiłem wujka i kojarzył mi się z życiem przygodowym. Odwiedzałem go z mamą, bywało, parę razy w roku. Przyjeżdżaliśmy z wizytą w wakacje lub ferie szkolne, zwykle na kilka, kilkanaście dni. To były dla mnie miłe chwile, choć przecież zamiast nad morze czy w góry, czy choćby na wieś, przenosiliśmy się jedynie z dużego miasta do miasta jeszcze większego. Ale nie szło o atrakcje plenerowe, głównie chodziło o odwiedzinę u kochanej cioci i jej dzieci, a moich młodszych kuzynów, z którymi zresztą spędzałem większość czasu, jako że wujka zazwyczaj nie było, bo albo gdzieś wyszedł, albo skądś nie wrócił w porę (stąd moje przekonanie o jego przygodowym życiu), jednak gdy już z nami był, to, że tak powiem, było go wszędzie pełno. Miewał, owszem, porywy złości, lecz naprawdę miał dobre serce i duszę optymisty, i to takiego, że hura. To się udzielało. Fakt. Mimo że lubiłem ciocię i kuzynów, wujek umiał zawsze wyjść na plan pierwszy. Bo szybko prowadził, potrafił zakłąć, znał się na wielu, wielu sprawach, o których moja mama pojęcia nie miała. Na przykład nie była nigdy na filmie z Bruceem Lee, a wujek był i nawet raz próbował mnie przemycić na seans, ale że film wyświetlano od lat piętnastu, skończyło się na awanturze z bileterką, bo odmówiła wpuszczenia mnie do kina. Wtedy po raz pierwszy pojąłem w pełni sens słowa kurwa, które wcześniej było dla mnie słowem abstrakcyjnym, nieskojarzonym z konkretną płcią. Jeszcze dziś pamiętam podniesiony głos wujka i jego oburzenie, które solidarnie z nim dzieliłem. Przy wujku, można tak rzec, nabierałem męskości. Ale wracam do tematu: w krótkiej historii mojego wędkarstwa był wujek W. postacią kluczową.

Otóż raz kiedyś, latem, dostałem w prezencie od wujka bambusową wędkę z kołowrotkiem, a do tego chlebak wypełniony spławikami, haczykami, ciężarkami, żyłkami i innymi przybarami. Wędkę i resztę sprzętu na ryby (poza chlebakiem, który był chyba pamiątką z wojska) kupił okazjnie, zdaje się od ruskich w miejscowych koszarach, gdzie instalował kotły grzewcze w ramach swej korzystnie opłacanej rzemieślniczej działalności gospodarczej, zwanej podówczas prywatną inicjatywą. Ten zakup nie był przypadkowy. Wujek postanowił pokazać mi, czym jest prawdziwe wędkarstwo. Wprawdzie ostatnio wybierał się na ryby rzadziej — zajęty interesami w mieście i też z tej racji, że nie bardzo miał z kim, bo jego dzieci były jeszcze szkrabami, a cioci to nie interesowało — za to chętnie wspominał swoje dawniejsze połowy, czym niezmiernie ekscytował moją chłopięcą wyobraźnię. Te historie... a to przedzieranie się bladym świtem w grząskim terenie przez mokre trzciny do miejsc, gdzie ryby najlepiej biorą; a to ponton przewrócony

z powodu szczupaka-giganta, który urwał się, choć był już złowiony, walka z żywiołem wody, prawie śmierć w wirach rzeki, zakończona szczęśliwie ocaleniem półzywego wujka. Gdy wujek W. opowiadał, unosiła się wokół woń przygody (i zazwyczaj jeszcze inna, ale jakiego ściśle pochodzenia nie powiem, zapachowiec ze mnie żaden). W każdym razie, słuchając tych opowieści, czułem wielką potrzebę przeżycia czegoś ekscytującego. Byłem gotów na wielkie branie.

To miało się spełnić lada dzień. Sprzęt był skompletowany, wujek w świetnym humorze, bo skończył właśnie dużą robotę i miał mieć sporo wolnego. Nie od razu, ale znalazł wreszcie czas, by nauczyć mnie, jak posługiwać się wędką i co zrobić, gdy poczuję, że drgnął sępławik. No i w końcu doczekałem się, wujek zapowiedział, że pojedziemy na ryby. Na ryby! Wieczorem, w przeddzień planowanej wyprawy, nie mogłem zasnąć ani nawet w spokoju poleżeć w łóżku. Bałem się zasnąć. Nic że wujek obiecał zbudzić mnie przed wschodem słońca, miałem jeszcze tyle pytań, a on nie wracał. Wyszedł na chwilę po kolacji, jak powiedział, żeby zatankować fiata i pożyczyć od kolegi wędkarza trochę zanęty (tak się to nazywa?). Czekałem chyba do północy. Wreszcie zasnąłem.

Nie przypominam sobie, czy śniło mi się łowienie. Mama zbudziła mnie na śniadanie, a po śniadaniu, wiadomo, to ryby już brać nie mogły. No tak. Przez resztę mojego wtedy pobytu u wujka nie udało nam się wstać razem na czas. Ciocia kiwała głową, wujek przesympiał poranne posiłki, ale gdy pojawiał się w kuchni i, nalewając wody z kranu wprost do szklanki, mówił: *no, Mareczku, jutro* — rozumiałem to hasło doskonale i od razu pędziłem sprawdzić, czy żyłka nie zsunęła się przez noc ze szpuli. Byłem dzieckiem cierpliwym. Wiele godzin spędziłem, ćwicząc zarzucanie wędki na sucho.

Mniej cierpliwa była moja mama. Miała dość wyciągania haczyków z moich palców i chyba od początku nie spodobało jej się całe to, jak mówiła: wywijanie bambusowym kijkiem. Przed powrotem do domu kazała mi zostawić dla kuzynów wędkę i resztę sprzętu, które pewnie zaraz zniszczyli i pogubili. Tylko chlebak zabrałem i ze dwa ciężarki, co się w nim zapodziały. Tak się złożyło, że odtąd niezbyt często odwiedzaliśmy siostrę mojej mamy, więc wujka widziałem później tylko przy okazji większych uroczystości ogólnorodzinnych. Podczas jednej z nich usłyszałem prawdę o historii z przewróconym pontonem. Rzeczywiście, wujek W. był wtedy bliski utonięcia, ale nie z powodu szczupaka-giganta.

/ M. P.

Max Z w e i t

Garść zeschniętych liści

Listopad, połowa. Zimno. Mgłiście. Niebawem szarość skryje nas w swym cieniu. Albo już skryła. Aby zdążyć przy świetle dziennym, choć słabym, piszę tych parę słów, szczerze mówiąc bez wiary, że *spotrafię* wysłowić swój stan rozproszenia. Ręce osobno, nogi osobno, głowa obok. Nie, nie tak.

Listopadowa mgła. Ale nie mgła, która zakrywa szpetotę ani nie mgła, która odcina od zimnego świata. To zimna mgła, przez którą widać. W tej to mgle widoczność jest aż po horyzont. Po horyzont wyobraźni. Myślę, że ta choroba nie przejdzie.

Nie zdążę. Nie próbuję próbować. Nie szukam bardziej niż oszukuję. To już nie znudzenie, nie niecierpliwość z powodu, z głodu, z gwiazd ponad wszystkim, nie nerwy to wprost z ciała, protest nie z woli. Z niewoli to. Z nie-woli.

Znów mgła, szara szarość za dnia. I nie pomaga, że sporządzisz wiarygodną listę potencjalnych kryzysów. *Zwykle trudno opowiedzieć o tym, o czym naprawdę chce się opowiedzieć* (H.M.). Dlaczego? Nie wiem. Nie będę wiedzieć.

/ tłum. z niemieckiego **dast**

i. z.

O budowaniu autostrad

Oglądanie map drogowych tak wiele może zmienić w życiu człowieka. Weźmy na przykład taki atlas samochodowy Europy. Przyjrzyjmy się sieci autostrad. Z punktu A do punktu B wytyczona jest najkrótsza droga. I o to chodzi. Dla zajęcy współczesnego świata liczy się tempo...

Ostatnio kupiłam w antykwariacie książkę Emila Fagueta „Kochaj starców”. Cytat: „starcy się pocieszają, dając dobre rady, gdyż nie mogą już dawać złych przykładów”. Coś w tym jest. Od dawna zamierzam napisać tekst o starości, właśnie dlatego, że jej nie znam. Znam kilku starców, ale to nie to samo.

Nie zauważyłam nawet, że ostatnie trzy miesiące tego roku to już historia. Że nie będzie lipca, sierpnia, września 2004. Szkoda.

i. z.

Mocne postanowienie poprawy (epilog)

Leżę sobie na podłodze, czytam i palę papierosy (choć pamiętasz, dawno miałam już to rzucić... nie mogę). Palę i czytam, i trafiam u Sandora Marai na taki fragment:

O NIKOTYNIE: „Nikotyna jest największym podarunkiem współczesnego życia i najsilniejszym ciosem: wynalazł ją diabeł [*chwała Bogu! — dopisek mój*], i człowiek nie może nic przeciwko niej uczynić, dopóki na ziemi panuje nuda. Nikotyna jest silną trucizną, nadto ogłupia. Ilekroć jednego dnia dużo palę, aby móc pracować, nazajutrz jestem półgłówkiem niezdołnym do pracy [*mam to samo! — dopisek mój*]. Poza tym może wywołać uczucie niepokoju, pocenie się, wzmożone bicie serca i inne niebezpieczne dla życia powikłania. Nie można nic przeciwko niej uczynić. Dymek z papierosa okrywa świat miłosierną zasłoną z mgły; owo gorzkie szczęście i zapomnienie — to tylko pospolite chwilowe upojenie; któż jest tak silny, by z niego zrezygnować czy bodaj zrezygnować o chwilę wcześniej, niż to będzie bezwzględnie konieczne... Serce, nerwy wzrokowe, żołądek, jelita, wszystko zbuntuje się przeciwko nikotynie. Wtedy odrzucimy ten gorzki niedopałek, raptownie przybierzemy na wadze, będziemy zdrowi, tędzy i nieszczęśliwi. Ale do tej chwili! Jakbyśmy co dnia ssali gorzką pierś złej, a jednak uszczęśliwiającej pramatki! Wszak jakiś rodzaj gry i trucizny też jest niezbędny do życia; w przeciwnym razie nie byłoby to życie, lecz tylko zdrowie i rutyna”.

Palisz jeszcze?

Odjazd w nie bardzo (sms)

Właśnie odjeżdżam, a byłam chwilę bardzo tylko. /go

Badyle

Zrobię to. Jak będzie? To jest niezbadywalne. /emka

Krosty, pryszczki, syfy różne

To wcale nie jest zła myśl, żeby siebie porzucić. Nie, to zdanie brzmi zbyt żałosnie. Sama myśl nie jest żalosna, ale jak się ją napisze, to taką się staje.

/ Haruki Murakami, *Przygoda z owcą*